



Źródło Mamerkusa (fragmenty)

Leszek Biały

Published: 2009

Categorie(s):

Tag(s): historia powieść "wyprawy krzyżowe" "nowy świat" 33strony

Chapter 1

New Chapter

Doszedłszy do wieku, w którym – jak mawiał mój Yusuf – zdrowie wystarczy mi za chorobę, chciałbym utrwalić na piśmie wszystko, co przypadło mi w udziale, zanim moje ciało stanie się pastwiskiem dla robaków, a sprawy, których byłem świadkiem, pokryje kurz niepamięci lub rdza przeinaczeń. A gdyby mi ktoś zarzucił, że i ja, chcąc ocalić przed żarłocznym czasem czyny i słowa ludzi, których dane mi było spotkać, nie zawsze spisuję je dość dokładnie, odpowiem, że po tylu latach czynię to poniekąd z konieczności, lecz staram się je odtwarzać najwierniej, jak umiem, z nadzieją, że prawda nie dozna z tego powodu zbyt wielkiego gwałtu.

Podobno na starość stałem się serdeczny jak Abraham, łagodny jak Mojżesz, cierpliwy jak Hiob, pokorny jak Jeremiasz, a przecież ciągle się frasuję, czy ujrzę także to górne Jeruzalem, o którym powiadają, że wznosi się w niebie. Bo choć nigdy nie skłamał Ten, co je obiecał, istnieje wszak nie tylko ono i jego wieczne szczęście, ale także ogień nieugaszony, i robak, który nigdy nie śpi, i otchłań, i ciemność, i zgrzytanie zębów, i nie mające kresu męczarnie.

Dlatego, zadowolony z tego, co mi podarowano, i pogodzony z tym, co mi odjęto, żałuję jedynie za moje grzechy i modłę się codziennie o to, aby, kiedy ogarną mnie bóle śmierci, kiedy moje serce stanie się jak wosk, kiedy moja cera nabierze barwy ołowiu, kiedy moja stygnąca ręka nie będzie już w stanie utrzymać ukochanego Krzyża i kiedy wreszcie stanę przed moim Panem i zadrzę na widok Jego majestatu, nie odrzucano mnie sprzed Jego oblicza i pozwolono mi zostać z Nim na zawsze. Oby, zgodnie ze słowami *Przeszliśmy przez ogień i wodę, ale Ty nam zesłałeś wytchnienie*¹, tym, którzy przeszli dla Niego przez to pierwsze, nie poskapiono również tego drugiego, i oby nie uznano nas za plewy, które wiatr porywa z ziemi, ani za krople, co wypadły z dzbana.

*

Nie sposób wymknąć się z ręki Boga i uniknąć Jego dopustów. Przekonałem się o tym, kiedy po trzech latach wojaczki przyjrzałem się sobie w kawałku zdobycznego lustra i spostrzegłszy, jak bardzo przerzedziły się i posiwiały moje włosy, powziąłem stanowczy zamiar powrotu w rodzinne strony. Wprawdzie powietrze w moim kraju nie było tak świetliste, słońce nie tak palące, wino pijano w nim tylko od święta i to jedynie na książęcym dworze, zaś nocą łatwiej było usłyszeć wilka niż cykadę, ale, po pierwsze, i tam toczono ciągłe wojny, a po drugie – nawet gdyby jakimś cudem miało ich kiedyś zabraknąć – miałem w ojczyźnie spłacheć ziemi odziedziczonej po przodkach, zaś ziemia ta, oddana na czas mojej nieobecności w zastaw klasztorowi, gdzie przebywała moja siostra, od dawna potrzebowała nie tyle pana, ile dziedzica. Patrząc w lustro, zrozumiałem, że czas już najwyższy wracać, poszukać w sąsiedztwie jakiejś gospodarnej panny i pomyśleć wreszcie o przedłużeniu rodu.

Do powrotu zachęcała mnie także mizéria łupów, które nie były mi całkiem obojętne. Od trzech lat brałem udział w walkach o Hueskę, największe miasto jakie widziałem w życiu. Wraz z innymi wspinałem się i spadałem z jego potężnych murów, odpierałem niezliczone wypadki jego obrońców i przez połowę tego czasu sztywniałem z zimna, a przez drugą smażyłem się żywem w mojej kolczudze.

Byłem dwukrotnie ranny i widziałem śmierć wielu dzielnych rycerzy, w tym samego króla Sancha Ramíreza, trafionego przez saraceńskiego kusznika w jedyne miejsce nieosłonięte żelazem – dokładnie pod pachę – kiedy uniósł na chwilę rękę, żeby nam pokazać, gdzie powinniśmy zaatakować. W dodatku, odkąd, zgodnie z prawidłami sztuki wojennej, spaliliśmy wszystkie pola, wycieliśmy wszystkie sady i zatruliśmy większość studzien w promieniu jednego dnia konnej jazdy, wielokrotnie cierpiałem głód i pragnienie, a przecież nadal byłem tak samo ubogi, jak w dniu, kiedy zachwycony widokiem dziewięćdziesięciu dziewięciu wież Hueski postanowiłem przyłączyć się do oblężenia.

Jeśli nie liczyć paru pierścieni i trzech woreczków srebrnych monet pokrytych niezrozumiałymi zawijasami, po trzech latach zmagania i znojów miałem w sakwach tylko niewielki czarno-czerwony dywanik, złoty rozpylacz do wody różanej ozdobiony wizerunkami jakichś zwierząt przypominających kozy, srebrny talerz w kształcie ryby, rzeźbiony róg do picia z kości słoniowej, sztylet nabijany turkusami oraz drobiazg, który podobał mi się najbardziej – zieloną, niemal przezroczystą szatę,

trochę wprawdzie rozdartą i poplamioną krwią, ale za to przetykana złotą nicią i lżejszą chyba od ptasiego pióra.

Zważywszy rzecz dokładnie, zapytałem mojego giermka Tito, czy pojedzie ze mną. Był to młody miejscowy chłopak, który po ucieczce z niewoli przystał do mnie na służbę za wikt i dziesięć dirhamów miesięcznie.

– A co z przysięgą, jaką złożyliśmy Don Sanchowi, że nie odstępimy od oblężenia, póki nie zdobędziemy miasta? – odparł bez entuzjazmu.

– Ja jej nie składałem – powiedziałem zgodnie z prawdą, jako że w dniu zaprzysiężenia byłem na pogrzebie przyjaciela w nieodległym Alquézar.

– Ja też nie – uśmiechnął się półgębkiem. – Ale i tak wolę Saracenów.

Wiedziałem, że niewierni porwali całą jego rodzinę, za co poprzysiągł mścić się do końca życia, toteż nie nalegałem, tylko przycisnąłem go mocno do serca, po czym dałem mu na pamiątkę talerz w kształcie ryby i poleciłem spakować moje rzeczy. Przypuszczałem, że także na północy nie brakuje już świeżej trawy i zamierzałem wyruszyć w drogę następnego dnia. Najpierw do Composteli, żeby poprosić Świętego Jakuba o dobrą żonę i co najmniej jednego udanego syna, a potem, prosto jak strzelił, do domu.

Tymczasem znów się okazało, że na tym świecie nie da się niczego zaplanować.

Kiedy pod wieczór, jak co dzień, obchodziliśmy mury z oprawną w srebro skrzynią zawierającą relikwie Świętego Wiktoriana, spod wieży zwanej Alquibla wypadli zniecka obrońcy i zaatakowali nas gwałtownie. W pierwszym starciu straciliśmy więcej ludzi niż przy niejednym szturmie i zostaliśmy przyparci do rzeki, toczącej przez większość roku bardzo mało wody, lecz teraz wezbranej po marcowych deszczach.

Tam to, położywszy trupem dwóch Maurów, zauważyłem kątem oka, że pośrodku nurtu, zanurzony do połowy w wodzie, obija się o kamienie relikwiarz ze szczątkami Świętego, porzucony w popłochu przez zakonników. I byłby się ów skarb dostał niechybnie w ręce pogan, gdyby nie rycerz zwany El Latino – powszechnie nie lubiany w naszym obozie, bo nie uczestniczący nigdy w naszych biesiadach i pijatykach przy ognisku – który, stojąc krzepko na wielkim głazie wystającym z wody, ciał w głowę każdego Maura, jaki się doń zbliżył. Saraceni szyli do niego z łuków i ciskali weń włóczniami, ale on, choć wyglądał już całkiem jak Święty Sebastian, wciąż trwał na skale i bronił im przystępu do świętych relikwii.

Nie czekając, aż nadejdzie pomoc z drugiego brzegu, rzuciłem się natchmiast w wodę i z okrzykiem: „Panie, wytrwaj jeszcze trochę!”, ominąłem łukiem atakujących, po czym dopłynąłem do starego mruka z boku. Kiedy jednak próbowałem wspiąć się na zajmowany przez niego głaz, El Latino odepchnął mnie nogą i zawołał:

– Gdzie mi się tu płaczesz, ciuro?! Już cię tu nie ma!

Ponieważ nauczono mnie znosić obelgi, ale nie pozwalać, żeby mi ktoś rozkazywał, nie dałem za wygraną i znów zacząłem wdrapywać się na kamień. A kiedy El Latino znowu próbował mnie z niego strącić, wczepiłem się w jego łydkę i niechcący pociągnąłem go za sobą w wodę, przy okazji ratując mu chyba życie. Saraceni jeszcze raz zasypali nas pociskami, nurt zakreślił nami i pchnął nas na skałę, i zaraz potem ujrzałem Raj Ziemi.

Miejsce to, położone daleko na Wschodzie, na wysokiej górze, gdzie nie sięgnęły wody Potopu, było rozległą równiną opasaną murem ze szczerego złota i pierścieniem ognia. Tryskało w nim cudowne Źródło dające początek czterem rzekom, a zwały się one, jak ktoś mi zaraz podpowiedział: Pizon, Gichon, Chiddekel i Perat. Ich wody niosły ze sobą gałęzie drzew oliwnych, cyprysów, imbiru, goździków, mirtu i aloesu, narecza różnobarwnych kwiatów i żywe ptaki w gniazdach – jedne białe jak śnieg, inne czerwone jak karbunkuł albo zielone jak trawa, jeszcze inne błękitne jak niebo – a także mnóstwo owoców, które obojętnie jak przekrojone, zawsze podsuwają oczom zbawczy znak Krzyża.

Powietrze w tym miejscu było niezwykle przejrzyste i panowała tam bardzo przyjemna temperatura. Ponieważ w Raju nie istniały pory roku, nie znano tam także śniegu, burz, gradu, gwałtownych wichrów, zimowych mrozów, wiosennych roztopów, letnich upałów ani jesiennej słoty. Nie było tam również węży, szcurków, żab, much, komarów i jadowitych pajaków. Za to wszędzie widziało się rozmaite drzewa i kwiaty, których nikt nigdy nie siał ani nie sadił. Drzewa rosły przynajmniej tak wysoko, jak nasze topole i codziennie rodziły inne owoce o wybornym smaku. Nigdy nie więdnące kwiaty zachwycały barwami i upajały swą wonią, zaś moje ulubione róże w ogóle nie miały kolców. Pomiedzy drzewami, na bujnych łąkach, pasły się wolne od strachu jelenie i jednorożce, podczas gdy ich nowo narodzone potomstwo ssało z ufnością mleko niedźwiedzicy. Pies żył tam w przyjaźni z kotem, wilk leżał obok koźlęcia, zaś lew piastował w łapach niewinne jagniątko.

Jak daleko mogłem sięgnąć okiem, żyzna ziemia skrzyła się bryłami złota i srebra oraz mnóstwem szlachetnych kamieni – diamentów, szmaragdów, rubinów, jaspisów, agatów, topazów, beryłów i ametystów –

ale najpiękniejsze było to, że w tym cudownym przybytku nie znano w ogóle śmierci, chorób, starości, zbrodni, sprośności, zdrady ani smutku, i że każdy, kto czegoś potrzebował, dostawał to zaraz za darmo. Toteż wszyscy mieszkający tam święci, męczennicy i dusze sprawiedliwe – wśród których, jak zauważyłem, rej wodzili Adam i Ewa oraz Henoah i Elias, a zwłaszcza Święty Dyymas, Dobry Łotr, dzięki któremu, po czterech tysiącach lat zamknięcia na głucho, wrota Raju otworzyły się dla nas ponownie – wyglądali na niezmiernie zadowolonych. W oczekiwaniu na wskrzeszenie ciał i ostateczne wstąpienie do Królestwa Niebieskiego, jedni modlili się, drudzy odpoczywali, inni przechadzali się bez celu, jeszcze inni śpiewali w chórze albo wiedli skoczne tany na wiecznie zielonej murawie, zaś słodkie dźwięki towarzyszącej temu muzyki niosły się szeroko po całym Domu Światłości.

Niestety, ledwie zdażyłem uprosić kilkoro z obecnych, żeby zechcieli pomodlić się także za mnie i za mojego, jeszcze nie spłodzonego, ale już umiłowanego syna, kiedy niespodziewanie przyszło mi wrócić na ziemię.

Tu okazało się, że zostałem uratowany i – w nagrodę za męstwo, z jakim stanąłem w obronie Świętego Wiktoriana – umieszczony razem z El Latino w tej samej celi pobliskiego opactwa kanoników regularnych w Montearagón, służącego za lazaret tylko wielkim panom. Kiedy przyszedłem do siebie, stary wojak, podziurawiony jak rzeszoto, leżał wciąż bez czucia niczym kłoda, zaś przy mojej pryczy siedział mój giermek Tito.

– Chwała Bogu w Trójcy Jedynemu! – wykrzyknął widząc, że otwieram oczy. – Nareszcie! Jak się czujesz, panie?

– Przed chwilą czułem się znacznie lepiej – stwierdziłem zgodnie z prawdą. – Czy to ty mnie wyłowiliście?

– Między innymi – przytaknął, lecz wydał mi się czegoś markotny.

– Co ci jest? – zapytałem. – Czyżbyś tego żałował?

– Boże uchroni, tylko kiedy cię ratowaliśmy, ktoś... ukradł jedną z twoich sakw – poinformował ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie może być! – jęknąłem. – Która?

– Tę z rozpylaczem i rogiem – opuścił głowę jeszcze niżej.

Poderwałem się z pryczy, ale z bólu zaraz opadłem na nią z powrotem, toteż wycedziłem tylko przez zęby:

– Choć jestem pewny, że człowiek sprawiedliwy posiada skarby całej ziemi, chciałbym wiedzieć, który skurwysyn to zrobił?!

– Jeśli go znajdzie, poderżnę mu gardło – obiecał ponuro Tito.

Kiwnąłem głową na znak zgody, po czym zapytałem zrezygowany:

- A co z resztą? Jak Święty?
- Dzięki Bogu, bezpieczny. A twoje rzeczy oddałem na przechowanie opatowi.
- I dobrześ uczynił – pochwaliłem go. – Zaopiekuj się jeszcze końmi, zapłace.
- Zrobię to za darmo. Byleś wyzdrowiał, panie.
- Dziękuję. Tylko przepędź je czasem po polu, żeby mi się nie zapasty jak smoki – poprosiłem go na pożegnanie.

Poniesiona strata doskwierała mi znacznie bardziej niż rany, jakie mi zadano. Z początku myślałem bowiem, że oprócz złamanej i włożonej w łupki nogi, a także paru dziur po strzałach, nic szczególnego mi nie dolega. Dopiero wizyta opata Szymona uświadomiła mi boleśnie, jak wielką marnością jest srebro i złoto całego świata! Otóż na pytanie, kiedy będę mógł ruszyć w rodzinne strony, gdzie pilno mi się ożenić i spłodzić upragnionego dziedzica, ów zacny mąż odparł dziwnie stropiony i bynajmniej nie od razu:

- Nikt nie może wejść do Królestwa Niebieskiego nie wypróbowany.
 - Co chcesz przez to powiedzieć, ojcze? – zapytałem zdziwiony.
 - Tylko to, że ciało należy do świata, a wszystko, co należy do świata, kocha też okazje do grzechu. Dlatego, jeśli zdarzy się nam ponieść jakiś uszczerbek na ciele, powinniśmy przyjąć to z radością i dziękować Bogu, że uwolnił nas w ten sposób od niektórych pokus – odpowiedział uprzejmie, ale takim tonem, jakby chciał mnie pocieszyć.
 - Mów trochę jaśniej, ojcze – poprosiłem – bo od ran rozum mi się chyba nadwreżył.
 - Mniejsza o twój rozum, a nawet o nogę – tym razem pozwolił sobie na pewną obcesowość. – Wygląda bowiem na to, że największą szkodę poniósł od strzały twój członek płodzący.
- Odruchowo sięgnąłem poniżej brzucha, lecz byłem tak szczelnie owinięty płótnem, że nie udało mi się niczego stwierdzić. Widząc mój gest, opat pokręcił głową.
- Nie, niczego ci nie brakuje. Wątpliwe tylko, żeby moc wróciła.
 - Na rany Chrystusa! A moje małżeństwo?! Mój syn?! – zawołałem z przerażeniem.

- Małżeństwo? – wzruszył ramionami. – Na świętego Wiktoriana, któregoś tak dzielnie bronił, cóż ci po małżeństwie? Czyżbyś nie wiedział, że pod pewnymi względami nie różni się ono niczym od nierządu, a jego główna wartość polega na tym, że rodzą się z niego dziewice? Niechaj się żenia ci, którym zależy na nocnych obłapiankach i którym nie przeszkadza popiskiwanie dzieci. Rozumny człowiek w ogóle nie

tyka kobiet, zaś w kwestii potomstwa, zawsze pamięta o tym, że nikt bardziej nie paskudzi w domu, niż myszy, gołębie i dzieci.

– Nie kpjij sobie ze mnie, ojczy! Jakże mam żyć bez kobiet?! – chwyciłem się za głowę.

– Jakoś można, wierz mi. Wytłumacz sobie, że kobieta to najniebezpieczniejsza ze wszystkich pułapek, jakie czyhają na nas na tym świecie. Prawdziwa furtka do piekła i smok jadowitszy od salamandry. W końcu, naszego praojca Adama nie namówił do grzechu diabeł, tylko jego własna żona. I dlatego jest bardzo wątpliwe, żeby jakaś kobieta mogła podobać się Bogu.

Widząc, że go wcale nie słucham, przerwał, popatrzył na mnie z politowaniem, a potem, machnąwszy ręką, dodał na odchodnym:

– Zresztą, wszystko w ręku Boga. Czasem dopuszcza na ludzi cierpienia, aby zaczęli Go szukać tym chętniej i mocniej. Oby tak było i w twoim przypadku.

W jakąż rozpacz wtrąciły mnie jego słowa! Słyszałem wprawdzie nieraz, że człowiek jest trawą, a wszelka wspaniałość człowieka jest jak kwiat tej trawy, słyszałem także, że wszyscy zestarzejemy się niczym szata, po czym stoczą nas mole, a jednak wydało mi się okrutną niesprawiedliwością, że musiało się to przytrafić akurat mnie, tak szybko, po tylu zasługach, i na dodatek w chwili, kiedy postanowiłem wreszcie zadbać o ciągłość mojego rodu! Jakby tego było mało, ów, z powodu którego złożyłem tak wielką ofiarę (nie zapomniałem mu jego zniewagi!), wciąż leżał nieprzytomny i nawet nie mogłem wyrównać z nim rachunków.

Kiedy po kilku dniach zdjęto mi część bandaży i odzyskałem swobodę ruchów, natychmiast poddałem uszkodzone miejsce pieczołowitym oględzinom i rozmaitym, wyczerpującym próbom. Na pozór wszystko było w porządku, a jednak na próżno sięgałem pamięcią do lubych chwil z przeszłości i daremnie wyobrażałem sobie moją przyszłą małżonkę pod postacią najurodziwszej z niewiast. Jakby na potwierdzenie słów uczonych w Piśmie, surowo przeciwstawiających skłonności ciała dążeniom nieśmiertelnej duszy, to, co jest ciałem o wiele bardziej niż cała jego reszta, niezmiennie ciążyło ku ziemi, wskazując wymownie na proch, z którego powstało i w który się kiedyś obróci.

Mimo to nie ustawałem w moich wysiłkach, aż któregoś razu zaskoczyła mnie przy nich klasztorna posługaczka, Saracenka przynosząca nam posiłki i sprzątająca nasze pomieszczenie. Nie zdążyłem nawet okryć się derką, kiedy, przyjrząwszy mi się przez chwilę zza czarnej zasłony zakrywającej jej twarz, parsknęła śmiechem, po czym wybiegła

z celi jak oparzona. Rozgniewany na siebie i na nią, nie potrafiłem powstrzymać się od złośliwości, gdy następnego dnia zajrzała do nas ponownie. Zwłaszcza, że tym razem długo i głośno pukała, po czym skłoniła mi się w progu z wyraźną przesadą.

– Wejdz – rzekłem kwaśno na jej widok. – Rozumiesz po chrześcijańsku?

Skinęła potakująco głową.

– Jak masz na imię?

– Subh.

– A zatem, powiedz mi, Subh, czy to prawda, że wy, Saracenki, dlatego zasłaniacie sobie twarze, że wszystkie jesteście nadzwyczaj szkaradne?

– Możliwe, ale z pewnością nie aż tak bardzo, jak wasze kobiety – odparła bez namysłu. – Inaczej wy, chrześcijanie, nie wolelibyście radzić sobie bez nich.

Cios był zadany tak celnie, że zawstydzony, postanowiłem się usprawiedliwić.

– Wybacz, właściwie nie chciałem cię urazić. Zostałem paskudnie zraniony.

– Wiem – odpowiedziała. – Ja też nie chciałam cię urazić.

Kaleczyła niemiłosiernie wyrazy, ale w jej głosie zabrzmiało coś tak miękkiego, że przyjrzałem się jej uważnie. Choć z całej jej spowitej w czerń postaci widziałem jedynie oczy, nie wiedzieć czemu pomyślałem sobie, że musi być niebrzydka.

– Usiądź – wskazałem jej miejsce w nogach pryczy. – Skąd się tu wzięłaś?

Zakłopotana przysiadła na brzeżku pryczy.

– Dostałam się do niewoli, kiedy uciekłam od męża – wyjaśniła przeciągając poszczególne słowa.

– Uciekałaś od męża? A to dlaczego? – zainteresowałem się.

– Dlatego, że go zdradziłam, a on się o tym dowiedział – odrzekła hardo, już bez owego przeciągania chrześcijańskich sylab.

– Zdradziłaś męża?! – uniosłem brwi do góry.

– Tak, i to z chrześcijaninem, jak ty, niech go Allah oszpeci!

– To ciekawe – skrzywiłem się. – Czy możesz mi o tym powiedzieć coś więcej?

Westchnęła, lecz kiwnęła głową na znak zgody.

– Wysłałam za mąż za rycerza, który przybył do Al-Andalus z Yusufem Ibn Tashfinem i był jego chorążym w bitwie pod Zallaqah. Mojego męża, wciąż zajętego wojną, prawie nigdy nie było w domu, więc całymi

miesiącami skazana byłam jedynie na towarzystwo innych żon, przyjaciółek i służby. Należał do niej także pewien chrześcijański rycerz imieniem Rodrigo, opiekujący się w niewoli naszymi sokołami, który zapłonał do mnie gwałtowną i zakazaną miłością. Przy rzadkich okazjach, kiedy mógł się do mnie zbliżyć, szeptał mi czułe słowa i przysięgał zrobić wszystko w zamian za najdrobniejszy dowód przychylności z mojej strony. Kiedyś posunął się nawet do tego, że obiecał mi przejść na naszą wiarę, jeśli okaże się dla niego choć trochę łaskawsza...

– A to łajdak! Dlaczego nie doniosłaś na niego od razu starszemu nad służbą?

– Bo był młody i bardzo przystojny. Jednak szybko przekonałam się, że popełniłam błąd. Któregoś dnia, nie wiem jak, zmylił czujność eunuchów strzegących naszego haremu i wpadł do mnie z wielkim kuchennym nożem. Przystawił go sobie do serca i zawołał: „Subh, moja kochana Subh, jeśli nie chcesz, żebym z miłości do ciebie zaraz się przebił, nie bądź z kamienia i odsłoń na chwilę swoją twarz!”. Wyglądał tak, jakby do reszty postradał rozum, więc zrobiło mi się go żal. Pomyślałam, że może lepiej popełnić grzech, niż pozwolić, żeby się zabił z mojego powodu, toteż, choć z ociąganiem, spełniłam jego prośbę.

– Nie powinnaś była tego robić – zauważyłam z przyganą. – Niechby się bydlak zabił. Co było dalej?

– Padł przede mną na kolana i wykrzyknął: „Pani! Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu! Błagam cię, nie bądź skąpa i odsłoń coś jeszcze!”. Tego było już za wiele, więc kazałam mu się wynosić i odwróciłam się, żeby przejść do sąsiedniej sali. A wtedy ten łajdak z piekła rodem podskoczył do mnie i ugryzł mnie z całej siły w pośladek! Miałam na sobie tylko lekką atlasową spódnicę, toteż wbił we mnie wszystkie zęby! Nim zdażyłam krzyknąć, zniknął zapominając o nożu. Także i tym razem nie wydałam go w ręce kata, lecz los mnie za to pokarał, bo w dwa dni później mój mąż powrócił ze zwycięskiej wyprawy przeciwko Umarowi Al-Aftasowi, władcy Badajoz. Miałam nadzieję, że wieczorem wezwie do siebie jakąś inną żonę, ale on, na moje nieszczęście, właśnie mnie kochał najbardziej...

– Po tym co usłyszałam, wcale mu się nie dziwię.

– Dziękuję, panie. Długo okrywał mnie pieściami i pocałunkami, aż wreszcie nastąpiło to, co musiało nastąpić. Jego ręce nagle znieruchomiały, a on, wpatrując się w moje pośladki, krzyknął przeraźliwie: „Na Allaha! Widzę dwie głowy dojrzałe do ściecia!”. Na nic zdały się moje tłumaczenia i błagania, na nic moje płacze i przysięgi! Surowy

i podejrzliwy jak wszyscy Lemtunowie, dopatrzył się zdrady i jeszcze tej samej nocy kazał ściąć Rodriga.

– Słusznie, też bym tak zrobił. A co z tobą, pani?

– Ze mną? Zamknął mnie w moim pokoju, odkładając decyzję do rana. Ja zaś wolałam na nią nie czekać i skoczyłam z balkonu, po czym wydostałam się z naszej posiadłości przez słabo strzeżony ogród. Przy skoku skręciłam nogę, lecz tym razem miałam trochę szczęścia, bo tuż za naszym majątkiem wpadłam w ręce rabusiów, którzy sprzedali mnie do tego klasztoru – wyjaśniła ze smutkiem.

Po tych słowach chwyciłem ją za rękę i powiedziałem z przejęciem:

– Pani, od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, byłem pewny, że musisz być niezwykle piękna! Teraz widzę, że nie brak ci także rozumu. Wielka szkoda, że po tak przykrych przygodzie zapewne nie zechcesz pokazać mi swojej twarzy, pierwszej przyczyny twojego nieszczęścia!

– Twarzy?! O nie, przenigdy! – cofnęła rękę z przerażeniem, lecz zaraz dodała pojednawczo: – Ale jeśli ci na tym zależy, mogę ci pokazać jego przyczynę drugą.

Po czym, nie czekając na moją decyzję, wstała, odwróciła się i uniosła powoli swoją czarną spódnicę. Prawdę rzekłszy, poczułem się rozczarowany. Miała wąską kibić i niezbyt wysklepione pośladki, przypominające kształtem odwrócony owoc figowca, mnie zaś zawsze podobały się najbardziej nasze kobiety, o dużo jaśniejszej cerze i znacznie obfitszych kształtach. Mimo to, widząc, że już zamierza się zasłonić, gwałtownie przeciw temu zaprotestowałem.

– Chwileczkę! A gdzie jest rana, którą zadał ci Rodrigo?

– Już się zbliżniła. Tylko tutaj – dotknęła palcem prawego pośladka – pozostał jeszcze niewielki ślad.

– Musisz się bardziej zbliżyć, bo tak nic nie widzę – poprosiłem.

Wtedy podeszła do mojej pryczy, położyła się i nieco uniosła biodra. Z bliska wydała mi się o wiele ładniejsza. Przyjrzałem się z uwagą wskazanemu miejscu, lecz nie dostrzegłem w nim nic oprócz zwykłego pieprzyka. Pogłodziłem zatem tym czulej jego okolice i rzekłem:

– Zaiste, pięknie się wygoiło. Byłbym zresztą niepokieszony, gdyby było inaczej.

A potem obróciłem ją delikatnie na bok i odchyliłem jej udo. Domek Wenus, tak jak lubiłem, miała całkiem wygolony. Widok obłej szczeliny, z lekka już rozchylonej i zaróżowionej, poruszył jak zawsze moje serce, ale inaczej niż zwykle – nic więcej. Długo wodziłem palcem wzdłuż jej brzegów, raz po raz zanurzałem go w niej, to głębiej, to płycej, aż w końcu, kiedy Subh, przysunawszy się do mnie jeszcze bliżej,

własnoręcznie poszerzyła ją i zaokrągliła, ucałowałem to miejsce ze szczerą ochotą.

Nie mając wcześniej do czynienia z Saracenkami, nie przypuszczałem nawet, że kobieta może tak pięknie pachnieć, toteż w ślad za pierwszym pocałunkiem złożyłem w tym miejscu drugi, trzeci i kolejne, a mimo to moje serce, choć przepojone wdzięcznością, pozostawało nadal straszliwie samotne.

Subh musiała to wyczuć, bo nagle szepnęła:

– Pozwól, że ci pomogę – po czym, odsunawszy derkę, którą byłem nakryty, przesłoniła siebie i moje lędźwia swym czarnym hidżabem.

W pierwszej chwili, kiedy poczułem się w jej ustach, przepelniła mnie nie tylko nieznaną mi dotąd błogość, ale – co ważniejsze – także uzasadnioną, jak mi się zdawało, nadzieją. W drugiej zrozumiałem, że nadzieja ta była płonna, zaś trzeciej w ogóle nie było, ponieważ za naszymi plecami rozległ się chrapliwy głos:

– Gdziekolwiek jestem, w niebie czy w piekle, dajcie mi wody!

Subh skoczyła jak oparzona, i to tak nieszczęśliwie, że nastąpiła przy tym na moją złamaną nogę, a następnie znikła, jakby się rozpuściła w powietrzu! Mdlejąc z bólu, odwróciłem się w stronę pryczy zajmowanej przez El Latino, który wsparty na łokciu, musiał obserwować nas już od dłuższego czasu, i wycedziłem przez zęby:

– Panie, masz paskudny zwyczaj mieszania mi szyków w najmniej stosownej chwili! Mam nadzieję, że wystarczy ci również odwagi, by za to zapłacić.

– Później – burknął w odpowiedzi. – Teraz chcę tylko wody.

Chcąc nie chcąc pokuśtykałem do niego z dzbankiem, a on pił i pił wielkimi haustami, po czym obtarł z zadowoleniem spieczoną usta i natychmiast zapadł ponownie w sen.

Nie obudził się z niego przez kilka następnych dni, podczas których Subh nie pojawiła się ani razu. Badający go felczer kręcił z niedowierzaniem głową, klnąc się na wszystkie świętości, że jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś, kto według całej jego wiedzy, powinien był już dawno umrzeć, miał się z dnia na dzień coraz lepiej, i to na dobitkę, bez jedzenia, picia i przyjmowania jakichkolwiek medykamentów! Ja również cieszyłem się z powrotu do zdrowia El Latino, ponieważ przysięgłem mu zemstę, a przecież nie mogłem bić się z nieboszczykiem. Dlatego, kiedy znów się obudził, jeszcze zdrowszy i bardziej rześki, i zażądał wielkim głosem wieczerzy, odczekałem, aż nasyci głód, po czym zwróciłem się do niego najuprzejmiej, jak umiałem:

– Cieszę się, panie, że masz się już całkiem dobrze, i że wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi, opuścisz ten lazaret szybciej ode mnie. Życzę ci z całego serca, abyś doszedł do pełni sił jak najszybciej, bo kiedy zrosnie się moja noga, chciałbym stanąć z tobą do walki, pieszej albo konnej, na tępe bądź na ostre, na śmierć lub na życie, jak ci tam będzie wygodniej.

El Latino spojrział na mnie uważnie i stwierdził z uznaniem:

– Ależ jesteś zawzięty, chłopcze! Bardzo to lubię, lecz niestety muszę ci odmówić.

Wtedy, wrząc z oburzenia, zawołałem:

– Nie nazywaj mnie chłopcem, tchórze!

– A ty mnie tchórzem, chłopcze – uśmiechnął się. – Dla mnie jesteś i pozostaniesz chłopcem, czy to ci się podoba, czy nie. Jednak walczyć z tobą nie zamierzam. Po pierwsze, dlatego, że chciałeś mi pomóc, a po drugie, bo nie masz ze mną żadnych szans.

– To się jeszcze okaże! – rzuciłem wyzywająco.

– Nic się nie okaże. Uprawiam to rzemiosło trochę dłużej od ciebie. Wiesz, co ci powiem, chłopcze? Zamiast myśleć o zemście, zdobądź lepiej od braciszków dzban dobrego wina. Napijemy się na zgodę, a potem opowiem ci coś, co opowiadam tylko takim jak ty, to znaczy takim, którym wydaje się, że uratowali mi życie. Ostatnim, pod Toledo, był niejaki Herluin, jeśli dobrze pamiętam.

Stwierdzeniem, że tylko mi się wydaje, jakobym uratował mu życie, zaciekawiał mnie na tyle, że odłożyłem gniew na później i zdobyłem rzeczony dzban wina. El Latino najpierw ułał z niego kilka kropel na ziemię, potem wychylił duszkiem dobre pół kwarty za nasze zdrowie, a wreszcie przekazał go w moje ręce i rozparty wygodnie na swojej pryczy, rzekł:

– Kpisz czy o drogę pytasz? – przerwałem mu drwiącym tonem i sam pociągnąłem z dzbana solidny łyk. – Musiałbyś mieć dzisiaj tysiąc lat z okładem.

– Prawie tysiąc dziewięćdziesiąt. I co z tego? Nie czynmy słonia z muchy. Czyżbyś nie wiedział, że Noe żył dziewięćset pięćdziesiąt lat, a Matuzalem jeszcze więcej, bo dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć? A może w to nie wierzysz? – spojrział na mnie badawczo.

– Jako ochrzczony mam obowiązek czynić to wszystko i w to wszystko wierzyć, co czyni i czego naucza Święta Matka Nasza, Kościół Rzymski – odparłem uroczyście.

– Więc i z tym nie powinieneś mieć trudności – skwitował lekceważąco. – Lepiej mi nie przerywaj albo nigdy nie skończymy.

– A zatem, chłopcze, jak już powiedziałem, urodziłem się w roku 761 *ab Urbe condita*, czyli ósmym od narodzin naszego Pana Jezusa Chrystusa. Dziesięć miesięcy wcześniej ojciec mój Rufus, po piętnastu latach nienagannej służby, uzyskał urlop na załatwienie spraw spadkowych w rodzinnym Lavinium, gdzie trafił akurat na święto Libera.

– A co to za jeden?

– Bóg płynnych nasion. Corocznie podczas jego świąt obwożono po całej okolicy wielki członek męski wykonany z drewna, aby w końcu złożyć go z należną czcią na forum mojego ojczystego miasta, założonego, jak wiadomo, przez samego Eneasza. W najważniejszym dniu obrzędów, kiedy to dla zapewnienia polom urodzaju, najszacowniejsza z miejscowych matron musiała przystroić ów członek kwietnym wiankiem, mój ojciec zwrócił uwagę na pewną dziewczynę - moją przyszłą matkę - która, jako jedyna spośród zebranych, w trakcie tej ceremonii zasłaniała sobie twarz welonem. Od razu się w niej zakochał, jeszcze szybciej ożenił i zanim nadszedł termin powrotu pod sztandary, spłodził z nią czym prędzej wymarzonego od dawna syna.

– Nawet nie wiesz, jak mu zazdroścę! – westchnąłem z kolejnym łykiem.

– Nie ma czego, chłopcze, nie ma czego – zauważył ze smutkiem El Latino, a potem ciągnął dalej: – Może kierowały nim złe przeczucia, może dostrzegł złowróżbne znaki w locie czy wnętrznościach ptaków, dość jak ci powiem, że w rok później zginął wraz z całym XIX legionem z ręki Cherusków dowodzonych przez zdrajcę Arminiusza. Jak opowiadał mojej matce pewien weteran, który dotarł później na miejsce bitwy z Germanikiem, barbarzyńcy złożyli na leśnych ołtarzach, w ofierze swoim bożkom, wszystkich ujętych żywcem trybunów i setników, a ich czaszki poprzybijali do drzew gwoździemi ku naszej przestrodze. Czy taki właśnie koniec spotkał mojego ojca, który na parę miesięcy przed tą klęską miał pecha dosłużyć się godności starszego centuriona drugiej kohorty, czy też fortuna okazała się dla niego łaskawsza i zginął z bronią w ręku, tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

– Jaki Arminiusz? Jaki Germanik? – zapytałem, ale spostrzegłszy, że El Latino rozkłada ręce i wznosi wzrok ku niebu, jakby oczekiwał stamtąd wsparcia i pomocy, odwołałem natychmiast moje pytania i pozwoliłem, żeby mówił dalej.

Musisz zaś wiedzieć, że w rodzinie mojego ojca wszyscy zdrowi na ciele i umyśle mężczyźni od pokoleń służyli w wojsku. Żal po stracie świeżo poślubionego małżonka, jak też wynikające stąd tym większe przywiązanie do mnie, sprawiły, że moja matka powzięła stanowczą

decyzję zerwania z tą tradycją. Z tego powodu w dzieciństwie i młodości, inaczej niż wszyscy moi przodkowie, a także rówieśni mi kuzyni i przyjaciele, nie wprawiałem się w zapasach, szermierce czy w walce na pięści, nie brałem też udziału w zawodach strzeleckich ani nie nauczyłem się dobrze jeździć konno, a o powożeniu rydwanem nie śmiałem w domu nawet pisać. Matka zabraniała mi również bawić się w podbijanie prowincji czy w walki gladiatorów i patrzyła krzywym okiem nawet na najzwyklejsze wyprawy do palestry lub cyrku.

Za to za pieniądze dziadka Senniusza, swego ojca, sprawiła mi preceptora Greka, który uczył mnie retoryki i literatury w obu językach, jak również opłacała mi lekcje filozofii i prawa. Marzyła, biedaczka, że zostanę wziętym retorem albo adwokatem... Ale, ale, czy aby rozumiesz takie słowa, jak „gladiator”, „palestra”, „preceptor”, „adwokat”, a zwłaszcza „filozofia”?

– Oczywiście – skłamałem bez mrugnięcia okiem. – Mów dalej, Mamerkusie.

– To dobrze. Tak więc, kiedy raz dałem sobie wytłumaczyć, że laury zdobyte na niwie poezji bądź prawa przynoszą obywatelowi nie mniejszy zaszczyt niż krew przelana w służbie ojczyzny, uprawiałem gorliwie poletko Apollina, ćwiczyłem się w sztuce krasomówczej i bez szczególnego obrzydzenia wertowałem kodeksy praw.

Przyszłość zapowiadała się całkiem nieźle. Już w chwili przywdziania togi męskiej mogłem poszczycić się wydaniem zbiorku okolicznościowych epigramów, obdarzonych życzliwą uwagą kilku znajomych literatów, a także daleko posuniętą pracą nad komentarzem do ustaw Oppijskich. Przeniósłem się do Rzymu, gdzie za pieniądze dziadka Senniusza wynająłem mieszkanie na Eskwilinie, tuż przy bramie Prenestyńskiej. Wkrótce potem sprzedałem też pewnemu senatorowi, za pięćset sestercji, mowę przeciwko zbytkowi, którą ów wygłosił później z wielkim powodzeniem w senacie. Po tych sukcesach nabrałem przekonania, że z czasem dorównam jako orator wziętemu krasomówcy Kwintusowi Hateriuszowi, zaś pod względem znajomości prawa samemu Kapitonowi Atejuszowi, zażywającemu podówczas sławy najtęższego z jurystów.

Przez następne lata oddawałem się studiom i pracy ze zdwojonym zapalem. Nie trwoniłem czasu na bezczynność ani nie przedkładałem nigdy przyjemności nad pożytek. Rychło ukończyłem i ogłosiłem komentarz do ustaw Oppijskich, zyskałem także kolejnych klientów na układane przez siebie oracje. Zacząłem również występować w sądzie i żeby poprawić dykcję, wzorem Demostenesa, godzinami ćwiczyłem

moje mowy z kamieniami w ustach. Zaniedbałem jedynie poezję, ponieważ w natłoku codziennych zajęć nie byłem w stanie poświęcić Muzom tyle czasu i uwagi, ile powinien im złożyć w ofierze każdy, kto chce liczyć w zamian na ich łaskawość. Brak czasu nie pozwolił mi także założyć rodziny. Odkładałem tę rzecz na później, na porę, gdy zdobęde odpowiednią pozycję w światku liczących się retorów. Tymczasem, przyciśnięty potrzebą, zadowalałem się zwykłą rozpustą, chociaż - mówię to po to, żeby cię uspokoić, skoro już musimy leżeć w tej samej celi - do dziś poczytuję sobie za chwałę, że, być może z wrodzonego umiaru, nigdy nie zasmakowałem w grzechach przeciwnych naturze.

- Tego by jeszcze brakowało! - przeżegnałem się na wszelki wypadek.

- Ta sama stateczność, która kazała mi odnosić się wstrzemięźliwie do porywów ciała, sprawiała również, że nie interesowałem się zbyt polityką. Rzecz jasna, wiedziałem, jak wszyscy, o zbrodniach Sejana, słyszałem, jak wszyscy, o okrucieństwach i łajdactwach Cezara, jakich dopuszczał się w swej samotni na dzikiej Kaprei, jak prawie wszyscy, opłakiwałem los Germanika i jego rodziny, ale nade wszystko - też jak niemal wszyscy - bałem się wszechobecnych donosicieli, którzy sztukę przywódzenia innych do zguby wnieśli w owe lata na istne wyżyny. Toteż często powiadałem sobie:

*Po cóż wspominać ohydne morderstwa, zbrodnie tyrana?
Niechaj bogowie mu za nie zapłacą i jego rodowi!*²

A zresztą, doktryna moich mistrzów nauczyła mnie, że w teatrze świata każdy ma do odegrania swoją własną rolę, i jedyne co naprawdę może, to zagrać ją jak najlepiej, nie oglądając się zbyt na całą resztę, na którą najczęściej i tak nie ma żadnego wpływu.

Dlatego, kiedy rozeszła się pogłoska, że Tyberiusz nie żyje, zakłuty mieczami, otruty czy też zaduszony poduszkami na swojej Kaprei, z początku w nią nie wierzyłem, wietrząc w tym jakiś nowy podstęp nikczemnego starca, później zaś, gdy rzecz się potwierdziła, starałem się nie okazywać zbyt jawnie rozpierającej mnie radości. Lud tymczasem tak bardzo się ucieszył z jego śmierci, że biegał jak szalony po całym Rzymie, wznosząc nieprawomyślne okrzyki i głośno wiwatując. Jedni wołali: „Tyberiusz do Tybru!”, drudzy wzywali senat, by przeklął jego pamięć albo błagali Jowisza, by strącił go do najniższej części Tartaru, jeszcze inni grozili trupowi Skałą Tarpejską bądź Schodami Gemońskimi.

Szczególne wzburzenie obywateli wywołało stracenie z wyroku Cezara – już po oficjalnym ogłoszeniu jego śmierci – kilku więźniów. To pośmiertne okrucieństwo tyrana rozsierdziło także mnie i to właśnie ono wytrąciło mnie ostatecznie z kolein powściągliwości przystojującej filozofowi, za jakiego się wówczas uważałem.

Jakby coś we mnie pękło, jakby została przerwana we mnie jakaś wewnętrzna tama, szalałem ze szczęścia wraz z całym ludem, kiedy ogłoszono władcą młodego Gajusza. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że objęcie tronu przez tego młodzieńca spełniło najgorętsze pragnienie większości moich rodaków, szczególnie zaś żołnierzy, znających go jeszcze z czasów, gdy w żarcie obozowym zyskał przydomek Kaliguli – co w moim ojczystym języku znaczy „Bucik” – ponieważ wychowywany od najmłodszych lat pośród wojska nosił jako pacholę podkute sandały zwykłego legionisty. Kochano go również dla jego ojca Germanika i całego świetnego, a prawie już wygasłego rodu, z którego się wywodził. Więc kiedy kroczył z Kampanii za zwłokami Tyberiusza, wszędzie honorowano go ołtarzami i łukami tryumfalnymi, wszędzie obsypywano go kwieciami, wszędzie wieszano girlandy i festony, wszędzie składano mu ofiary, wszędzie palono na jego cześć pochodnie i urządzano dla niego wystawne uczyty. Wszędzie też witały go wielkie tłumy, obwołujące go swoim „słoneczkiem”, „gwiazdeczką”, „syneczkiem”, „chłopaczkiem”, „pieszczotka”, „kochasiem” albo „pupilkiem”. A kiedy niedługo potem ciężko zachorował, jeszcze większe tłumy nocowały w rozpaczy wokół Palatynu, zanosząc błaganie do bogów o jego jak najszybsze wyzdrowienie.

Wśród tych ogromnych tłumów byłem i ja. I ja, choć na co dzień niezbyt przykładałem się do wypełniania obowiązków religijnych, uważając, że przyzwoitemu człowiekowi i dobremu obywatelowi wystarczy, jeśli od czasu do czasu weźmie udział w oficjalnych obrzędach, przez całą tamtą pamiętną noc modliłem się, śpiewałem nabożne pieśni, składałem ofiary i paliłem kadzidła przed posągami uwielbianego Cezara. A kiedy jeszcze nad ranem niektórzy z obecnych poczęli składać śluby, publicznie wymieniając swoje nazwiska, że za jego wyzdrowienie gotowi są oddać własne życie lub potykać się z bronią w rękę jako zawodnicy, także i ja, porwany ogólnym entuzjazmem i urzeczony podniosłym pięknem owej chwili, uczyniłem bez wahania to samo, zapominając o wrodzonym umiarkowaniu i nabytej uporczywą pracą postawie filozofa. Co gorsza, zapomniałem również o tym, że w dobie powszechnego zepsucia obyczajów jest równie nierozsądne brzydzić się pochlebstwem, jak i w nim przesadzić. Cezar bowiem wkrótce wyzdrowiał, a ja

przekonałem się na własnej skórze, jak niebezpieczne bywają miłości ludu.

Pamiętam, że siedziałem właśnie przy pieczonej koszatce i dyktowałem orację, w której rozważałem kwestię, czy nasze sprawy toczą się z woli przeznaczenia i przedwiecznej konieczności, czy też raczej według ślepego trafu – najwięksi mędracy nie byli bowiem co do tego zgodni – dochodząc akurat do miejsca, gdzie chciałem przedstawić dowody na to, że bogowie wcale o nas nie dbają, wskutek czego wszelkie dole i niedole przypadają w udziale, równie niedorzecznie i bez żadnej winy czy zasługi, tak dobrym, jak i złym, kiedy nagle rozległo się pukanie do moich drzwi. I zanim mój niewolnik Otho zebrał się, by je otworzyć, do środka wpadł garbaty Cestiusz, właściciel *insuli*, w której wynajmowałem mieszkanie, wskazał na mnie palcem, po czym zaśmiał się szyderczo i wyskoczył na korytarz z tą samą chyżością, z jaką się był pojawił.

Zaintrygowany podszedłem do drzwi. Stał w nich – pochylając z lekka głowę, gdyż inaczej by się tam nie zmieścił – centurion pretorianów miejskiej kohorty. Zapięty pod brodą hełm wskazywał, że jest na służbie. Przez wąski prześwit między jego zwalistą postacią a framugą dostrzegłem sylwetki jeszcze dwóch żołnierzy. Byłem tak zdumiony, że nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. W tej sytuacji centurion odezwał się pierwszy, wciąż zasapany z wysiłku:

– Jak można, kurwa, mieszkać na szóstym piętrze?!

– Czasami nie ma innego wyjścia – usprawiedliwiłem się skromnie. – O co chodzi?

– Mamerkus Camillus? – zapytał bardziej urzędowym tonem.

– Camillinus – sprostowałem. Ale on tylko machnął ręką i dał znak jednemu z podwładnych, który odhaczył coś rylcem na woskowanej tabliczce.

Jako wolno urodzony obywatel, zażądałem wyjaśnień i otrzymałem je:

Próbowałem coś powiedzieć, ale oni nie mieli ochoty tego słuchać, tylko zwlekli mnie po schodach na ulicę, gdzie pod strażą żołnierzy czekała już grupka podobnych do mnie nieszczęśników. Wszyscy zatrzymani byli równie przerażeni jak ja, przy czym jeden z nich, należący – jak wniosłem ze stroju – do stanu rycerskiego, wykrzykiwał raz po raz, że jest niewinny. Że zaś o przeprowadzanych aresztowaniach już się rozeszła:

Wieść, która jest najszybszym ze wszystkich w świecie dopustów,^[1]

ludzie, których mijaliśmy po drodze, chowali się na nasz widok w bramach lub znikali pośpiesznie w najbliższych zaułkach, choć nie brakowało również i takich, którzy sądząc, że oto pędzono do więzienia jakichś zwykłych przestępców, głośno nam złorzeczyli, wygrazali pięściami, a nawet ciskali w nas kamieniami i wszystkim, co mieli akurat pod ręką.

Jednak większość moich towarzyszy bardziej dręczyło pytanie, dokąd nas prowadzą, i czy – jeśli rzeczywiście przyjdzie nam wystąpić na arenie – będziemy walczyć na zwykłych igrzyskach, gdzie przynajmniej najmłodszy i najsprawniejszy z nas mogli liczyć na łut szczęścia, czy też, nie daj Boże, na tak zwanych *munera sine missione*...

– A cóż to takiego, u diabła? – przerwałem mu z zaciekawiony.

– I jak było w twoim przypadku? – zapytałem.

– Na szczęście, chodziło o zwykłą hoplomachie, choć to okazało się dużo później. Zresztą, ja się nad tym nie zastanawiałem. Przez całą drogę do koszar gladiatorów, dokąd nas zaprowadzono, głównie przeklinałem krwiożerczość różnych bogów i półbogów domagających się ofiar z ludzi, a jeszcze bardziej moje własne nieopanowanie. A kiedy, już na miejscu, powiedziano nam, że z woli Cezara dopełnimy naszych ślubów za cztery tygodnie, wraz z kilkoma innymi więźniami, wśród których był również wspomniany ekwita, odmówiłem udziału w zajęciach z szermierki i od tej pory myślałem już tylko o nieuchronnej śmierci, żeby się z nią jakoś oswoić.

Na śmierć nie ma ziół w ogrodach – mówiłem sobie – a droga do Tartaru jest jedna dla wszystkich. I trafi do niego każdy, albowiem natura nie tworzy niczego na wieczność. Śmiertelni są nie tylko ludzie, żyjący niewiele dłużej niż jętki nad Tybrem, ale także domy i świątynie, miasta i państwa, góry i rzeki, morza i ziemia, a nawet niebo, słońce i gwiazdy. Wszystko, co powstało z łaski przychylnego Losu, zginie też kiedyś z jego niełaski, tyle że jedno trochę wcześniej, drugie nieco później. Zaś między „trochę wcześniej” a „nieco później” nie ma w istocie większej różnicy. Kto to zrozumie, nie ma się czego lękać. Bać się nie może zwłaszcza filozof, który w przeciwieństwie do prostego ludu, nie jest na tyle głupi, ani tak żaloszny, żeby marzyła mu się nieśmiertelność. To on przede wszystkim powinien wiedzieć, że należy cieszyć się tą ilością czasu, jaka została nam przeznaczona, byle tylko spożytkować ją do końca, po czym trzeba ustąpić miejsca innym. Nawet aktor, aby odczuwać satysfakcję i podobać się publiczności, nie musi być na scenie przez całą sztukę. Jeśli zagra dobrze swoją rolę i tak dostanie oklaski. Na koniec pocieszałem się znanym sofizmatem Epikura, że tak naprawdę

śmierć nas nie dotyczy, bo dopóki my jesteśmy, jej przecież nie ma, a kiedy się pojawia, nie ma z kolei nas.

Szkopuł w tym, że w mojej sytuacji „trochę wcześniej” i „nieco później” dzieliła prawdziwa przepaść, nie sądziłem także, abym zdołał spożytkować do końca tę niewielką ilość czasu, jaka została mi przeznaczona. W dodatku, jako aktor na scenie świata, wcale nie byłem pewny końcowych oklasków, zaś mówienie o tym, że śmierć nas nie dotyczy, brzmi zabawnie tylko dopóty, dopóki ona nie zajrzy nam w oczy.

Dlatego, im częściej powtarzałem sobie te argumenty, im dłużej wałkowałem je w myślach w tę i we w tę, im bezlitośniej kpiłem sobie z życia pozbawionego głębszego sensu, im okrutniej szydziłem z mrzonek gminu o nieśmiertelności i z jego wulgarnej chęci przeżycia za wszelką cenę choćby jednego dnia więcej, im goręcej apelowałem do rozumu i powagi filozofa, tym bardziej bałem się i tym rozpaczliwiej pragnałem żyć! Żyć w biedzie i poniewierce, żyć w chłodzie, głodzie i niewoli, żyć bez zdrowia, szczęścia i nadziei, ale żyć, po prostu żyć!

Wkrótce doszedłem do tego, że patrzyłem z zazdrością na szczury w naszych koszarach, z których każdy przeżył już niejednego pana, i zamiast filozofii miałem w głowie jedynie wiersze, jakie Horacy włożył w usta Mecenasa:

*Uczyńże mnie kaleką, ni rąk, ni nóg nie mającym;
Przypraw mi garb wypukły, wybij też śliskie me zęby.
Byleby życie zostało! Ze wszystkim tym dobrze mi będzie.
Żyć mi dozwól, choćbym w zapłacie na ostrym palu
Cierpieć miał męki!*^[2]

Aż wreszcie, po kilku dniach załamania, kiedy z trwogą wsłuchiwałem się w dochodzący z dziedzińca szcęk broni ćwiczących gladiatorów, z których każdy mógł się okazać moim przeciwnikiem, przypomniałem sobie o tym, o czym nie powinienem był nigdy zapominać: że jestem synem, wnukiem, i prawnukiem żołnierzy! I stawiłem się zaraz przed naszym magistrem z prośbą o wydanie broni.

Zrobiłem to jako jedyny spośród tych, którzy odmówili wcześniej udziału w zajęciach. Podkreślający stale swoją niewinność ekwita zadowolili się tylko napisaniem prośby o łaskę do Cezara i najspokojniej w świecie czekał na odpowiedź. Inni popadli w zupełną prostrację. Dniem i nocą nie schodzili z prycz, wpatrywali się w ścianę albo w sufit, nie odzywali się do nikogo, nie odpowiadali na żadne pytania i najczęściej nie tykali również podawanego nam jedzenia. Jeden z nich,

młody chłopak z Zatybrza, wyrwał w napadzie rozpaczy miecz pilnującemu nas gladiatorowi i przebił się nim na oczach wszystkich. Zrobił to tak nieumiejętnie, że trzeba go było dobić, lecz nie wywarło to na nikim żadnego wrażenia.

Żadnego wrażenia nie zrobiła także na naszym magistrze Krescensie moja spóźniona prośba o wydanie broni. Wzruszył jedynie ramionami, poklepał mnie po plecach i ze słowami „Chętnego fata prowadzą, opornego włoką przemocą”, pozwolił mi przyłączyć się do swojej grupy.

Ów Krescens w swoim niedługim życiu – był bowiem znacznie młodszy ode mnie – widział już chyba wszystko. Mówiono, że urodził się wolny, lecz pochodząc z ubogiej rodziny, sam sprzedał się laniście. Odniósł kilkadziesiąt zwycięstw i trzykrotnie obdarowywano go wolnością, jednak za każdym razem zaciągał się ponownie, za coraz wyższą stawkę. Jako ulubieniec publiczności, zbił wielką fortunę i jak każdy wzięty zapasnik, cieszył się łaskami kobiet. Podobno miewał kochanki nawet w najwyższych sferach Rzymu. Lubił się chełpić przy winie, że jeśli nawet trafi kiedyś na kogoś lepszego od siebie, to i tak zostawi po sobie ze dwie setki synów, z których kilku na pewno zasiądzie w przyszłości w senacie.

Ponieważ Krescens zorientował się od razu, że jako Samnita z ciężką tarczą i mieczem, mógłbym jedynie zepsuć widowisko, a co gorsza, ściągnąć tym samym hańbę na naszą szkołę, przydzielił mnie do Traków, którzy – nieomal bezbronni – dźwigali jedynie małą okrągłą tarczę i krótki, zakrzywiony mieczyk, zwany przez nas *sica*.

Przez pozostałe trzy tygodnie ćwiczyłem pod jego okiem od świtu do zmroku, starając się ze wszystkich sił nadrobić stracony czas. Mój brak zaprawy fizycznej i całkowita nieporadność w posługiwaniu się bronią wzbudzały w naszej *familia gladiatoria* powszechny śmiech i kpiny, a w wielu moich towarzyszach niedoli skrytą bądź jawnie okazywaną nadzieję. Kilku z nich powiedziało mi nawet w oczy, że modli się codziennie, żeby to właśnie mnie wylosować. Ja sam mogłem co najwyżej modlić się o to, aby jakieś nieprzewidziane wydarzenie podarowało mi trochę więcej czasu.

Jednak, zgodnie z wierszem:

Porzuć nadzieję, że zmożesz wyroki bogów błaganiem,^[3]

wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak miało się potoczyć...

W tym miejscu Mamerkus, wyczerpany długą opowieścią i zmorzony wielką ilością wypitego wina, niespodziewanie zasnął, ja zaś, choć byłem

bardzo ciekaw dalszego ciągu jego opowieści, nie miałem śmiałości go zbudzić.

^[1] *Eneida*, ks. IV, w. 173.

^[2] Horacy, *Fragment 1* (Lundersted), w: Seneka, *Listy moralne do Lucyliusza*, Warszawa 1961, s. 536, tłum. Wiktor Kornatowski.

^[3] *Eneida*, ks. VI, w. 376.



www.feedbooks.com
Food for the mind